



## **Trainspotting**

Filip Springer

## **Bezdomni**

Paweł Łączny

## **Sejm**

Piotr Koszczyński

## **Santo Subito**

Krzysztof Szewczyk

## **Pozdrowienia z Chorzowa**

Andrzej Marczuk

Rozmowa z

## **Rafałem Milachem**

## **Underfire Gallery**

Projekt

## **Cyganie**

Bogusław Kaczmarczyk

## **Szkoła boksu**

Maciej Nabrdalik

## **Kosovo**

Łukasz Kuś

Felieton

## **Twórca w cieniu kuratora**

Marcin Buras



Zapraszamy do szóstego już numeru magazynu fotografii dokumentalnej „5klatek”. Najnowsze wydanie podzieliliśmy tak jak poprzednie, na część polską i zagraniczną.

Fotograficzną opowieść o Polsce rozpoczynamy portretami z Wolsztyna - polskiej stolicy parowozów. Filip Springer podjął się zilustrowania wydawałoby się wyeksploatowanego przez fotografów zjawiska, jakim jest zamiłowanie do starych pociągów parowych.

Innym często pokazywanym w Polsce tematem jest bezdomność. Paweł Łączny przebywał kilka dni w noclegowni dla mężczyzn. Udało mu się „narysować” światłem sylwetki „ludzi-cieni” i dzięki temu symbolicznie oddać istotę problemu bezdomności, czyli zagubioną tożsamość.

Piotr Koszczyński penetrował z aparatem centrum polskiej polityki - Sejm. Dokonał bardzo prostego zabiegu - odwrócił obiektyw od miejsc, które znamy doskonale, czyli mównicy sejmowej czy ław poselskich, skierował zaś w miejsca pozornie mniej fotogeniczne - korytarze i hol sejmowy.

Najciekawszą dotąd fotograficzną opowieść o kulcie papieskim w Polsce przedstawił Krzysztof Szewczyk. W kilku czarno-białych obrazach celnie wskazu-

je na fasadowość zjawiska. Autor zadaje swymi zdjęciami pytanie znacznie szersze niż problem spuścizny po papieżu - Polaku, bo o charakter polskiej religijności.

Blok polski zamykamy barwnymi panoramami z Chorzowa. Andrzej Marchuk w zaskakującej formie pokazuje, jak spędza się czas wolny w chorzowskim parku rozrywki.

Rozmowę numeru przeprowadziliśmy z tegorocznym laureatem konkursu World Press Photo Rafałem Milachem. Jeden z najciekawszych autorów młodego pokolenia opowiada nam w niej o swoich fascynacjach fotograficznych, o własnym warsztacie, a także o tym, co wpływa na jego rozwój jako fotografa.

Część poświęconą opowieściom zza granicy rozpoczynamy unikatowym projektem kolektywu „Pogarda”. Kilku znajomych postanowiło sfotografować ciekawe miejsca na Bliskim Wschodzie, a później wracać do nich z małą, przygotowaną skromnymi środkami wystawą zdjęć. Wystawę „Underfire” prezentujemy na naszych łamach.

Cyganie słowaccy są grupą etniczną, która niezmiennie zaciekawia kolejne pokolenia fotografów. Tym razem jedną z osad odwiedził Bogusław Kaczmarczyk. Jego zdjęcia muszą przywo-

ływać w pamięci monumentalne dzieło Josefa Koudelki o Cyganach. Co się zmienia we wioskach romskich od czasów Koudelki? Odremontowane domy, antena satelitarna, kompletne ubrania - ale ludzie ciągle tacy sami...

Maciej Nabrdalik wyjechał do USA pobierać nauki od mistrzów gatunku w Agencji VII. Przywiózł prócz lekcji fotografii opowieść o nowojorskiej szkole boksu, w której dojrzewały największe gwiazdy tego sportu.

Ogłoszenie niepodległości Kosowa było w tym roku jednym z najważniejszych wydarzeń politycznych w Europie. Na Bałkanach nie zabrakło podczas tego wydarzenia polskich fotoreporterów. Najciekawsze naszym zdaniem zdjęcia przywiózł z Kosowa Łukasz Kuś.

Zapraszamy do lektury!  
redakcja „5klatek”

We are glad to invite you to the already sixth issue of “5exposures”, a documental photography magazine. We divided the latest issue exactly like the previous one, into Polish and foreign parts.

The photographic tale about Poland starts with portraits from Wolsztyn - Polish capital of steam engines. Filip Springer undertook the feat of illustrating this supposedly exploited by photographers phenomenon, namely the passion for old steam engine trains.

Another topic frequently portrayed in Poland is homelessness. Paweł Łączny spent a few days in a night shelter for men. He managed to “draw” with the light the silhouettes of “shadow-people” and, in that way, symbolically present the essence of the problem of homelessness, which is the lost identity.

Piotr Koszczyński penetrated with his camera the centre of Polish politics - the Sejm. He performed a very simple operation - he turned the lens away from the places which we know perfectly, specifically the Sejm rostrum or benches, and aimed it at places that are supposedly less photogenic - the Sejm corridors and hall.

So far, the most interesting photographic story about the cult of the pope

in Poland was presented by Krzysztof Szewczyk. In a few black and white pictures he accurately pointed at the superficiality of the phenomenon. With the photos the author asks a question much wider than just the case of legacy of the Polish pope, a question about Polish religiousness.

Polish part is closed by colourful panoramas from Chorzów. Andrzej Marczuk presents in a surprising way how your leisure time can be spent at Chorzów’s funfair.

The interview of the issue was made to this year’s prize-winner of World Press Photo, Rafał Milach. One of the most interesting authors of the young generation tells us about his fascinating photographs, his techniques, and also about the influences on him as a photographer.

The part devoted to tales from abroad starts with a unique project by “Propaganda” team. A few friends decided to take pictures of interesting places in the Middle East and then return there with a small, prepared with modest means, photo exhibition. The “Underfire” exhibition is presented on our pages.

Slovak gipsies are an ethnical group which permanently gets the interest of successive generations of photog-

raphers. This time, one of the settlements was visited by Bogusław Kaczmarczyk. His pictures must evoke the fundamental masterpiece about gipsies by Josef Koudelko. What has changed in the gipsy settlements from the times of Koudelka? Renovated houses, satellite aerials, complete clothing - but people are still the same...

Maciej Nabrdalik went to the USA to learn from the masters of the kind in Agency VII. Apart from photography lessons he brought a tale about New York boxing school at which the biggest stars of the sport were taking shape.

Proclamation of the independence of Kosovo was one of the most important political events in Europe this year. Also Polish photographers were present at the time at the Balkans. In our opinion, the most interesting photos were brought from Kosovo by Łukasz Kuś. We warmly encourage you to read our magazine!

Have a look!



Filip Springer  
**Trainspotting**





















**- Co widzimy na Twoich zdjęciach?  
Kim są fotografowani ludzie?**

- Zdjęcia zostały wykonane w Wolsztynie podczas słynnej parady parowozów w jedynej działającej parowozowni w Europie. Co roku na początku maja przyjeżdża tam kilkanaście tysięcy widzów i miłośników kolei, wielu z odległych zakątków Europy. Wolsztyńska parada jest dla nich sporą atrakcją, bo parowozy w swoich krajach mogą oglądać tylko w muzeach. Dla mnie to oni są najciekawszym tematem tej imprezy, bo przez nich można powiedzieć coś więcej niż zdać prostą relację z wydarzenia. A widzowie tej imprezy są często pomijani przez tłumy fotoreporterów, którzy zjeżdżają tam co roku nieco znudzeni, bo co nowego można wymyślić fotografując kolejne mknące po torach pociągi? Ja jechałem tam z trochę przekornym założeniem, by nie sfotografować ani jednej lokomotywy. Udało się to tylko częściowo, bo lokomotywy są tam wszędzie, „wchodzą w kadr” zupełnie nieproszone.

**- Najbardziej dotąd znany materiał o parowozowni w Wolsztynie to nagrodzony na World Press Photo reportaż Witolda Krassowskiego. Nie miałeś łatwego zadania podejmując podobny temat...**

- Dla mnie realizacja tego materiału to ćwiczenie, chciałem zmierzyć się

z tematem, o którym zdawałoby się Witold Krassowski powiedział już wszystko. Podchodząc do tematu nie myślałem o tym co zrobił tam Krassowski bo wiedziałem, że każda próba nawiązania do jego perspektywy czy wsparcia się na niej musi być skazana na niepowodzenie. Ja chciałem opowiedzieć przyjeżdżających do parowozowni ludziach, w których odzywają chłopięce marzenia, lub dopiero się one w nich rodzą. Równie ważni byli tam jednak dla mnie także ci, którzy w tej pasji „chłopcom z lokomotywami” tylko towarzyszą - ich żony, dzieci, życiowi partnerzy. Oni zwykle stoją tam z boku, czekając cierpliwie na finał, ale są nie mniej interesujący dla fotografa.

Więcej zdjęć Filipa Springera  
można zobaczyć na:  
[www.filipspringer.com](http://www.filipspringer.com)

rozmawiał G.D.



Paweł Łączny  
**Bezdomni**



















**- Jakie miejsce widzimy na zdjęciach? Jak długo pracowałeś nad tematem?**

- To schronisko dla bezdomnych mężczyzn znajdujący się w Szczodre, pod Wrocławiem. Schronisko działa pod opieką Towarzystwa pomocy im. św. brata Alberta. Oprócz miejsc do spania, kąpieli, odzieży, posiłku Towarzystwo oferuje pomoc w załatwieniu osobistych spraw. Pomagają w tym pracownicy socjalni, psycholodzy, terapeutą ds. uzależnień. Zdjęcia robiłem tydzień, przez który mieszkałem z bohaterami zdjęć w schronisku.

**- Patrząc na Twoje zdjęcia mam wrażenie, że opowiadasz o „ludziach-cieniach”, o osobach bez tożsamości, czy też o zagubionej tożsamości. Wzmacnia to dodatkowo fakt, że właściwie nie widzimy ich twarzy. Kim są ludzie, których fotografowałeś? Poznałeś ich bliżej?**

- Wśród fotografowanych był mistrz cukiernictwa, czy też świetnie swego czasu prosperujący prawnik, ojciec trojki dzieci albo wykształcony cieśla - wielu z nich sporo w życiu osiągnęli. O swojej przeszłości jedni mówili chętnie, drudzy mniej, inni zaś wcale. Nie spotkałem się jednak ani razu z narzekaniem na swój los, ze zrzucaniem odpowiedzialności za ich obecny status na

kogoś lub coś. Genezą dzisiejszych problemów większości z nich był alkoholizm. Praktycznie od każdego z nich słyszałem, że nikt im na siłę alkoholu do gardeł nie wlewał, więc mają świadomość, że sami kuli swój dzisiejszy los. Tak jak wspomnieliśmy, są to głównie ludzie o zatraconej tożsamości, których historie są często skrajnie odmienne, jednak istnieje pewne spoiwo, które je łączy. Jest nim alkohol i jego destruktywny wpływ na życie osobiste.

Więcej zdjęć Pawła Łącznego  
można zobaczyć na:  
[www.pawel-laczny.com](http://www.pawel-laczny.com)

rozmawiał G.D.





Piotr Koszczyński  
**Sejm**























**- Do tej pory deklarowałeś, że zajmujesz się fotografią uliczną. Co się stało, że zainteresowało Cię to co dzieje się w zamkniętej przestrzeni, do tego tak specyficznej jak Sejm?**

- Dla mnie „Sejm” - to jak najbardziej fotografia „uliczna”. Według definicji którą podaje strona internetowa [www.snaps.pl](http://www.snaps.pl) poświęcona tego typu fotografii: „Street photography - to fotografia nie reżyserowana, przedstawiająca bardziej sytuacje lub sceny niż konkretne obiekty czy ludzi. Intensywnie operująca skojarzeniem, zestawieniem, kontrastem i anegdotą, często eksponująca znaczenie momentu. Swoją nazwę zawdzięcza początkom, które miała na miejskiej ulicy, dziś bardziej odnosi się do stylu a nie do miejsca wykonania”. W moim przekonaniu „Sejm” zatem spełnia wymogi tzw. „fotografii ulicznej”.

Żadne ze zdjęć nie było pozowane. Wszystkie są „ukradniętymi chwilami”. Musiałem się zbliżyć na 2-3 metry, a jednak pozostać niezauważonym. Nie było to łatwe. Politycy nie są przyzwyczajeni do tego rodzaju zdjęć. Musiałem wejść w ich prywatne relacje. Zbliżyć się do nich pod każdym względem. Więc dla mnie to czysta „ulica”. Tyle, że ze względu na zimę fotograf schronił się do pomieszczenia.

Sejm sam w sobie interesował mnie o tyle, że dawał dach nad głowę do pstrykania zimowego w pomieszczeniach, w których byli ludzie tworzący jakieś relacje. Była szansa na zdjęcie.

Tak jak w lecie na ulicy, tak tu zimą - mogłem fotografować ludzi. Żadnych idei, przekonań, czy wartościowania. Ludzie w nie reżyserowanych sytuacjach. Równie dobrze mógłbym fotografować na dworcu, albo w centrum handlowym. Tak czuję *streeta*.

**- Jak długo penetrowałeś zakamarki Sejmu?**

- Dokładnie tyle samo, ile poświęcam na podobne zdjęcia, czyli ponad 100 godzin czynnego fotografowania. Odliczone są przerwy na jedzenie czy rozmowy z kolegami. Niestety uzbierać te 100 godzin nie było łatwo, bo sejm działa okresowo. Pierwsze zdjęcia zacząłem na poważnie w listopadzie 2007 a skończyłem w lutym 2008, razem około 4 miesiące.

**- Czy był jakiś klucz w tym, kiedy w Sejmie robiłeś zdjęcia?**

- Och nie! To coś od czego uciekam zawsze i jeśli można - to bronię się przed takimi ograniczeniami. Ja kocham zdjęcia naturalne, spontaniczne, nie reżyserowane, „uczciwe”. Nie lubię reportażu. Reportaż to - moim zdaniem - intelektualizacja. Już zanim z domu fotograf wyjdzie na „temat”, ma w głowie to co chce lub musi zrobić. Przekazać jakąś myśl, ideę, narzucić spojrzenie. Również od strony technicznej musi mieć wszystko rozplanowane. Zdjęcie otwierające, plan, detal, stopniowanie napięcia, zakończenie.. Moim zdaniem to nie ma nic wspólnego z tym czym

się zajmuję. Zdjęcia z kluczem to przekazywanie własnych opinii. Albo narzucanych, redakcyjnych. Ja jestem daleki od przekazywania idei, poglądów, czy racji. To tak jakbym dawał widzowi kolor i farby do namalowania obrazu a nie prezentował gotowe już dzieło oprawione w ramy.

Moim zdaniem, zachód słońca należy podziwiać osobiście. Wszelkie jego opisy, nawet najpiękniejsze, to jedynie zbiór subiektywnych odczuć. Zatem nie będą obiektywne, ani uczciwe w przekazie i nie zastąpią przeżycia osobistego. Intelektualizacja zabija duchowość, czystość odbioru. Jak ktoś trafnie to ujął: „gdy zanika duch, pojawia się forma”.

Więcej zdjęć  
Piotra Koszczyńskiego  
można zobaczyć na:  
[www.piotrkoszczynski.com](http://www.piotrkoszczynski.com)

rozmawiał G.D.



Krzysztof Szewczyk  
**Santo Subito**























## Santo Subito

W Polsce znajduje się największa na świecie liczba pomników Jana Pawła II. Pierwsze pomniki papieża Polaka powstały w latach 80 XX w. (pierwszy stanął w Krakowie już w rok po wyborze Karola Wojtyły na papieża). Do śmierci Jana Pawła II w 2005 było ich już w naszym kraju kilkadziesiąt. Jednakże masowy i niekontrolowany ich wysyp nastąpił po 2 kwietnia 2005 roku. Od tego momentu rzeźbiarze i producenci dewocjonaliów mają pełne ręce roboty. Lokalne samorządy postawienie pomnika traktują priorytetowo, a dla niektórych to oczywiście także okazja do niezłego zarobku.

Obok kremówek, świecących obrazków, plastikowych i gipsowych figurek, breloczków, długopisów, plakatów, książek, filmów i innych często absurdalnych gadżetów, pomniki są jednym z najbardziej widocznych (a z pewnością najbardziej trwałym) elementem kultu JP II w Polsce, jego materialnej i „popkulturowej” części.

Jednakże ciekawsze od samych pomników wydają się zachowania wiernych, którzy gromadzą się wokół nich. Zgodnie z hasłem Santo Subito pomniki traktowane są jak figury świętego, same stają się obiektami kultu. A „kult” ten to dziwna i chyba typowo polska mieszanka powagi, wzniosłości, kiczu, folkloru i turystyki. Normą jest dotykanie i całowanie

figur papieża lub jeśli to niemożliwe całowanie cokołu. No i oczywiście musi być jeszcze pamiątkowe zdjęcie.

Obrazy nasuwają się same. Ogromny pomnik papieża na postkomunistycznym blokowisku z wielkiej płyty w Sosnowcu to czysty surrealizm. Kiczowate do bólu plastikowe figurki papieża noszone przez dzieci podczas procesji w Kalwarii Zebrzydowskiej. Gipsowe figury czekające na kupca i nasuwające skojarzenie z ogrodowymi krasnalami. Czy wreszcie pomnik w Wadowicach z wyciekającą „cudowną” wodą wodociągową, którą ludzie nie tylko piją ale także nacierają nią bolące części ciała (patrz też materiał Łukasza Trzcińskiego w 005 numerze 5klatek).

Zdjęcia do cyklu Santo Subito powstają od roku 2006.

Więcej zdjęć Krzysztofa Szewczyka  
można zobaczyć na:  
[www.krzysztofszewczyk.com](http://www.krzysztofszewczyk.com)





Andrzej Marczuk  
**Pozdrowienia z Chorzowa**





















## - Dlaczego Chorzów i dlaczego park? Co Cię przyciągnęło do tego miejsca?

- Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie im. gen. Jerzego Ziętki, gdyż tak właściwie nazywa się to miejsce, to wspomnienia z dzieciństwa. Każdy kto mieszka na Śląsku, choć raz był w chorzowskim zoo, wesołym miasteczku, czy planetarium. Jest to jedyne miejsce w regionie, na którym zgromadzono tak ogromną różnorodność atrakcji sprzyjających wypoczynkowi. Ciekawym zjawiskiem jest przekrój wiekowy osób, które możemy spotykać na tym terenie. Miejsce dosłownie dla każdego.

Od kilku lat staram się dokumentować różne formy spędzania wolnego czasu. Dlatego miejsce to wydało mi się najbardziej właściwym do realizacji pomysłu. Ciekawiło mnie, że jako alternatywę dla bezproduktywnego siedzenia przed telewizorem, ludzie wydają niekiedy niewielkie pieniądze, aby spędzić czas z rodziną na atrakcjach wesołego miasteczka, czy zoo.

Z początku chciałem dokumentować park bardzo kompleksowo, jednak ciężko zmierzyć się z tak dużym nagromadzeniem obiektów rozsianych na całym terenie. Park kryje w sobie wiele historii z przeszłości, relikty propagandy czasu pracy kopalni oraz hut, które z pewnością są atrakcyjne dla fotografa, jednak ważnym elementem narracji stanowią, dla mnie osobiście, sytuacje związane bezpośrednio z bohaterami opowieści. „Pozdrowienia z Chorzowa” to jedna

z warstw historii o ludziach spotkanych podczas moich spacerów z aparatem. Myślę, że będę powracał do Chorzowa, gdyż jest to przestrzeń, którą można ujrzeć na wiele sposobów.

## - Jak długo pracowałeś nad historią?

- Realizacja zdjęć trwała niedługo, zaledwie kilka miesięcy w sezonie wiosenno-letnim. W tym czasie park tętni życiem. Ale pomysł na fotografowanie parku rodził się bardzo długo. Pierwszy raz przyjechałem do Chorzowa z zamiarem fotografowania w 2005. Rok później powstały pierwsze szkice aparatem fotograficznym. Jednak dopiero w kwietniu 2007 zdecydowałem się na konsekwentne śledzenie imprez oraz atrakcji, które odbywały się na terenie chorzowskiego parku.

## - Co właściwie widzimy na zdjęciach, w jakich sytuacjach fotografowałeś ludzi - widzimy zdają się jakieś imprezy, ale czy tylko?

- Najwięcej ludzi pojawia się w parku w weekendy. Poza sobotnio-niedzielnymi dancingami na otwartym powietrzu można trafić na koncerty i pokazy mażorettek, wystawy kwiatowe, targi zwierząt rasowych oraz egzotycznych. Jednak w tygodniu park to miejsce wypoczynku dla mieszkańców położonego nieopodal osiedla 1000-lecia w Katowicach. Traktują to miejsce niemal jak własny ogródek, mają swoje ulubione zakątki, gdzie rozkładają koce i leżaki, grają w szachy lub karty.

## - Dlaczego panorama? Cemu taka forma wydała Ci się najbardziej odpowiednia do tematu? Co zyskałeś tak fotografując?

- Format panoramy narzucił się sam. Miejsce parku to rozległy teren, może w ten sposób chciałem pokazać coś „szerzej”. Od samego początku przewidywałem sposób, w jaki sposób chciałbym prezentować fotografie docelowo na wystawie. Nie wiem, czy coś zyskałem, nie wiem na ile proporcje w tym formacie są trafione, to raczej może pozostawiam odbiorcy. Teraz kusi mnie klasyczne ujęcie chorzowskiego parku w wąskim kadrze - i może właśnie tego spróbuję?

Więcej zdjęć Andrzeja Marczyka  
można zobaczyć na:  
[www.andrzejmarczuk.com](http://www.andrzejmarczuk.com)

rozmawiał G.D.

Rozmowa z

# Rafałem Milachem

- Już parę miesięcy upłynęło odkąd zdobyłeś nagrodę World Press Photo za materiał o ludziach cyrku. Co zmieniło to prestiżowe wyróżnienie w Twoim życiu twórczo-zawodowym?

- W zawodowym niewiele. Zleceniodawcy właściwie się nie zmienili. Jest może troszkę lepiej, bo zleceń dużych i poważniejszych jest nieco więcej. Ale to nie jest znacząca zmiana. Jeżeli chodzi o energię i pomysły fotograficzne - podobnie - ani nagroda mnie specjalnie nie rozbudziła, ani też nie uspiła. Dzięki tej nagrodzie nabrałem pewności siebie, kiedy rozmawiam o swoich pomysłach fotograficznych, czy o planowanych materiałach zleconych. Zauważyłem też, że dla niektórych przestałem być fotoreporterem, a zostałem „artystą”...

- Jak właściwie rozpoczęła się Twoja przygoda z dokumentem?

- W Instytucie Fotografii Twórczej w Opawie (**Institut Tvůrčí Fotografie**). Startując tam złożyłem teczkę zdjęciową, która nie była związana z dokumentem. Wcześniej zajęcia z fotografii miałem na ASP w Katowicach. Robiłem różne rzeczy - rysowałem, malowałem, projektowałem. Jak idzie o dokument to byłem „zielony” kompletnie. Zajęć

z fotografii dokumentalnej było na czeskiej uczelni dużo - to mnie zaskoczyło. I właśnie dzięki Opawie zaczęła się moja przygoda z foto-dokumentem.

- Jak to możliwe, że kuźnią polskich talentów stała się uczelnia czeska? Co takiego ma ITF, czego nie ma na polskich uczelniach?

- Różne rzeczy na to wpływają. W Czechach jest większa tradycja fotografii dokumentalnej, bogatsza tradycja szkolnictwa - stricte - fotograficznego. Ale kluczem do sukcesu „Opawy”, są jej wykładowcy. ITF jest mekką dokumentu, dlatego że tamtejsi nauczyciele umieją dokument pokazywać i nim zainspirować. W Polsce takich miejsc jak ITF nie ma. My mamy łódzką filmówkę, ale szkoły fotograficznej na tym poziomie się nie dorobiliśmy.

- Miałeś swojego nauczyciela, mistrza, kogoś, kto znacząco na Ciebie wpłynął?

- Miałem to szczęście, że na początku swojej drogi fotograficznej spotkałem Piotra Szymona. To był doświadczony fotograf, który mnie nie nauczył fotografowania, tylko sposobu myślenia o fotografii i o człowieku. Do dziś pamiętam jak powtarzał, że czas poświęcony bohaterom zdjęć decyduje o zdjęciach. Podkreślał, że bez szacunku i pokory w stosunku do ludzi, których poznajemy i chcielibyśmy sfotografować - dobrych zdjęć nie będzie. Bez wątpliwości to,

że spotkałem na swojej drodze Piotra ma na mnie jako fotografa wpływ do dziś.

- Jaka jest - Twoim zdaniem - rola intelektu w pracy fotografa dokumentalnego czy fotoreportera? Do jakiego momentu myślenie o zdjęciach pomaga, kiedy zaczyna przeszkadzać?

- Oczywiście fotografuje się nie aparatem tylko głową, czy też sercem. Nim się zacznie robić zdjęcia dobrze jest mieć pomysł, dobrze jest wiedzieć, co chce się zrobić. Przeważnie staram się prze-myśleć temat, który podejmuję. Pracuję tak, że cały czas się zastanawiam jak pokazać historię, żeby nie powtarzać obrazów, które już znamy. Nim wyciągnę aparat i zabiorę się do fotografowania jakiegoś tematu, spotykam się z ludźmi, których chcę fotografować - staram się dowiedzieć jak najwięcej o temacie. To samo dotyczy miejsc. Generalnie uważam, że w dokumencie najważniejsze rzeczy dzieją się długo przed zwolnieniem spustu migawki.

- Czyli „głowa” nie przeszkadza i nie odciąga naszej wrażliwości od ciekawych obrazów?

- Wpierw trzeba wiedzieć, co się fotografuje a potem otworzyć na obraz i spontanicznie, szczerze reagować. „Robotyczne” myślenie zabija zdjęcia. Nie da się wszystkiego wykoncypować, wymyślić zdjęć. Sytuacja koryguje nasze pomysły. Nawet w fotografii mocno

konceptualnej, rzeczywistość zaskakuje fotografa i obraz może okazać się finalnie inny od tego, który powstał w głowie fotografa. Z bezmyślnego robienia zdjęć wynika niewiele. Nie należy jednak mylić „bezmyślności” z „beztroską” bo ta druga ma w sobie dużo uroku.

- Jak sądzisz, można godzić dziś pracę fotoreportera newsowego, zatrudnionego w gazecie z fotografią autorską? Mam wrażenie, że wieloletnia praca w gazecie codziennej nie sprzyja, albo wręcz uniemożliwia robienie fotografii autorskiej. Za bardzo trzeba być konkretnym i dosłownym ilustrując tematy zlecone, by zachować świeżość autorskiego spojrzenia.

- Kilka lat temu pracowałem przez trzy miesiące w Gazecie Wyborczej. Dość szybko zorientowałem się, że ten sposób fotografowania zupełnie mi nie odpowiada. Nie potrafiłem się odnaleźć w rytmie pracy gazety codziennej. I tamte trzy miesiące z punktu widzenia fotograficznego były dla mnie czasem straconym. To, czego się nauczyłem w gazecie, to opisywanie zdjęć, świądomość terminów w gazecie, dyscyplina pracy. Wydaje mi się jednak, że to jest sprawa dość indywidualna. Są fotoreporterzy, którzy potrafią godzić pracę dla dziennika z robieniem ciekawej fotografii. Pierwsze z brzegu przykłady - Grzegorz Dąbrowski z białostockiej Wyborczej, czy Wojtek Grzędziński z Dziennika.

- Jakiego typu fotografia Cię inspiruje? Widziałeś ostatnio coś, co Cię poruszyło?

- Z dużych projektów bardzo mi się podobała prezentacja zdjęć Jacoba Holdta - o Ameryce 1970-1975, którą widziałem w Berlinie. Jest w tej fotografii duży ładunek emocji i szczerości, widać radość fotografowania - zdjęcia są proste, czyste, nie pretensjonalne. Może dlatego, że Holdt nie uważa się za fotografa. Duże wrażenie zrobiła na mnie wystawa fotografii policyjnej z końca XIX wieku w „Yours Galery”, czy też wystawa „Zatrzymani” podczas „Miesiąca fotografii” w Krakowie. Moje ulubione ostatnio albumy to „Ghetto” - Broomberga i Chanarina, retrospektywa Diane Arbus, no i „Devil`s Playground” Nan Goldin. Co mnie inspiruje? Z jednej strony podobają mi się projekty głęboko przemyślane, wykoncypowane, ale też takie które są silnie emocjonalne i spontaniczne. Lubię fotografów z wyraźnym, odrębnym, rozpoznawalnym na pierwszy rzut oka stylem, ale też takich, którzy nie są jakoś szczególnie oryginalni formalnie, ale potrafią wspaniale reagować na ważne tematy.

- A jak to jest z Tobą, próbujesz pracować nad ukształtowaniem własnego stylu, języka fotograficznego?

- Nie podchodzę w ten sposób do swoich materiałów. Jeżeli zdjęcie jest dobre to je wykorzystuje w zestawie. Może

faktycznie jest tak, że oglądając fotografie na mojej stronie internetowej można pomyśleć, że to jakaś schizofrenia, bo każdy materiał jest trochę z „innej bajki”. Być może nie wykształcił mi się jeszcze ten specyficzny „język”. Nie wiem też, czy do tego dziś dążę. Chyba jest tak, że indywidualny styl, naturalnie wypływa z tego, co się robi. Cieszę się, że dziś korzystam z różnych środków formalnych w swoich opowieściach - może będzie tak, że kiedyś się to wyklaruje, i moje materiały będą bardziej jednolite. Ale nie boleje dziś nad tym, bo jestem na samym początku drogi w fotografii.

- A kolor? Od pewnego czasu właściwie fotografujesz tylko barwnie?

- Nie zastanawiam się nad tym zbyt. Większość tematów widzę w kolorze, dlatego tak fotografuję. Jeśli jakiś temat będę widział w czarno-bieli, tak go zrobię. Oczywiście jest olbrzymia różnica przy pracy w kolorze i w „czarno-bieli”. Przy barwach jest inny rodzaj skupienia, inny rodzaj myślenia fotograficznego.

- Brałeś udział ostatnio w warsztatach Joop Swart Masterclass organizowane przez fundację World Press Photo. Co z nich wyniosłeś?

- To było bardzo cenne doświadczenie. Zderza się tam wiele sposobów myślenia fotograficznego ludzi z różnych zakątków świata. Z jednej strony

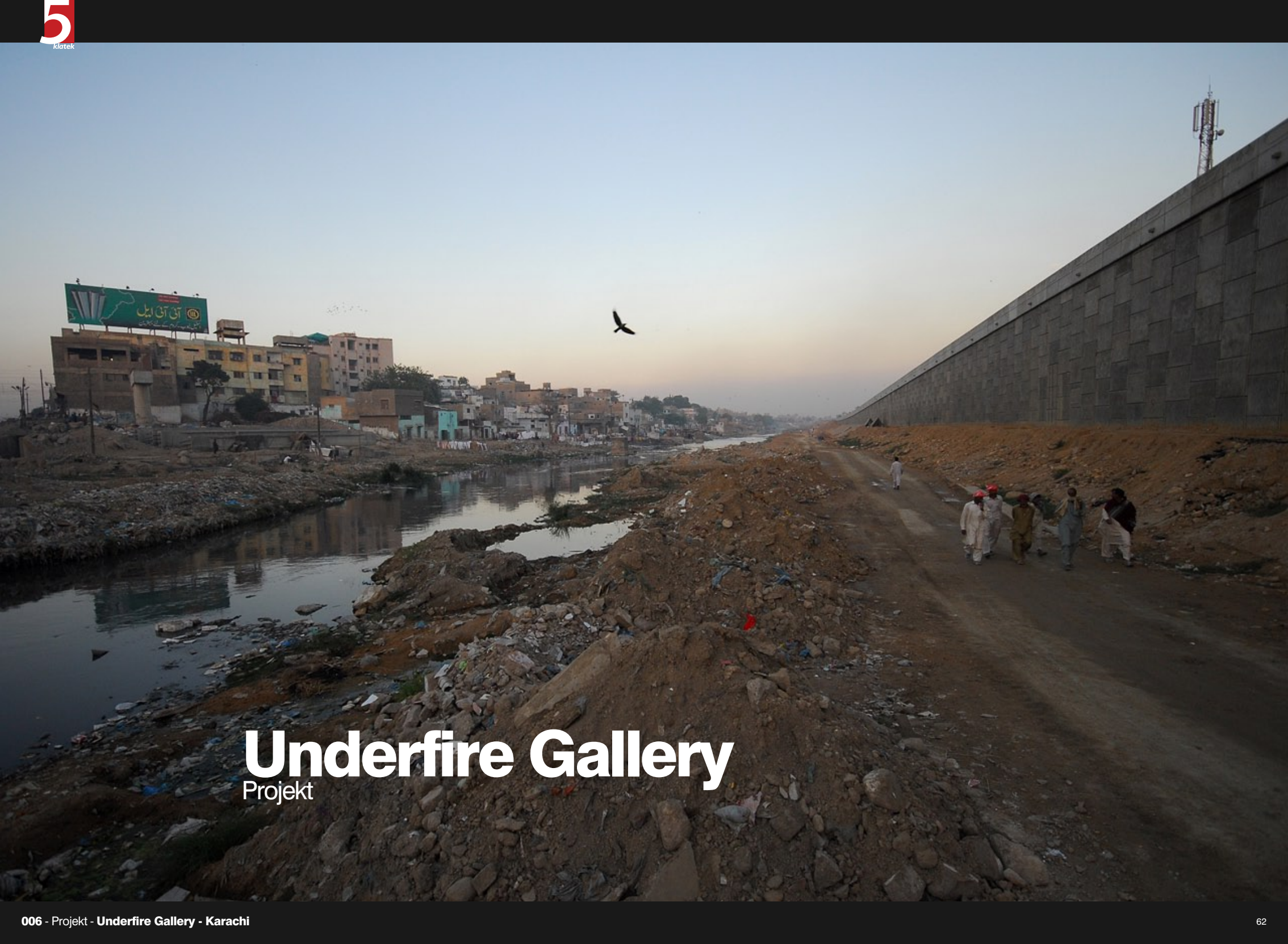
są na tych warsztatach „mistrzowie”, którzy pokazują studentom ich fotografie w nowy sposób, pomagają spojrzeć na nie z dystansem. To samo jest przy spotkaniu ze studentami którzy przyjeżdżają tam z całego świata. Łatwo można odnaleźć w zdjęciach kolegów z grupy towarzyskiej, czy nawet z jednego kraju pewne wspólne „sposoby” fotografowania. Takie schematy widać u Czechów fotografujących w specyficzny sposób, Niemcy mają też swoje „sposoby”, na samym ITF, też można takie schematy „patrzenia” fotograficznego znaleźć. Dzięki warsztatom Joop Swart Masterclass i konfrontowaniu swoich zdjęć poza własną grupą towarzyską, poza swoim krajem - łatwiej zauważyć we własnych zdjęciach takie schematy fotograficzne i od nich uciekać.

- Twoje marzenia fotograficzne?

- Chciałbym żeby fotografia zawsze sprawiała mi taką radość jak dziś.

rozmawiał: Grzegorz Dembiński

Zdjęcia Rafała Milacha  
można zobaczyć na:  
[www.rafalmilach.com](http://www.rafalmilach.com)



# Underfire Gallery

Projekt









دوت اسد  
 ملاستہ الملائہ خان  
 33  
 3382  
 3632  
 الطریقہ کیلئے  
 قرن نمبر



















**- Czym jest Underfire Gallery, kto jest autorem zdjęć i w jakim okresie powstały? Ile osób działa w kolektywie Pogarda?**

- UFG to po prostu: sznurek, kilka gwoździ, taśma klejąca, 49 zdjęć formatu a4. Jeździmy po krajach bliskiego wschodu i pokazujemy na ulicznych wystawach zdjęcia zrobione wcześniej w tych krajach. Nic nowego, nic niezwykłego. Banalne w montażu, choć przyznam, że nielekko w transporcie. Autorem fotosów jest koleś o pseudonimie „świńska morda”, choć prawdę powiedziawszy przy tym projekcie nie jest to takie istotne. Zdjęcia powstały przez kilka ostatnich lat. Sam nie wiem ile osób działa w kolektywie. Założmy, że liczba uczestników jest płynna.

**- Dlaczego uważacie, że ludzie żyjący na co dzień wśród wojen, zamieszek, ciągłego zagrożenia życia, są zainteresowani tym jak widzą ich świat ludzie cywilizacji Zachodniej? Co my właściwie mamy im do przekazania?**

- To nie jest dobre pytanie, Ci ludzie nie są zainteresowani zachodnim potworem, to on w bardzo szybki i brzydki sposób już zainteresował się nimi. Nie chcemy w tych ludziach wywoływać rewolucji poprzez obrazy, nie mamy zamiaru zmieniać ich życia. Nie mamy zamiaru dawać tym ludziom rad a tym bardziej przekazywać czegokolwiek. Zresztą nie wiem co wartościowego mogłyby przekazać tym ludziom cywilizowane-zachodnie szkodniki. Prawda jest taka, że UFG to

hedonistycznie ukierunkowany projekt, taki foto-cyrk z małpą w roli konferansjera. Chyba chodzi nam o to, by chociaż na czas trwania UFG, ci biedacy zapomnieli o otaczającym ich piekle i mieli ubaw z „małpy” pokazującej „cuda na kiju”.

**- W jakich miejscach udało się już pokazać zdjęcia? Jaki jest ich odbiór, jak miejscowi na nie reagują?**

- Mieliśmy kilka małych wystaw w Iranie - trudno tam zrobić coś bez pozwolenia, prosto na ulicy, wszędzie policja i wojsko. Jest to oczywiście możliwe, ale nie było sensu wikłać się w jakieś problematyczne sytuacje. Jedna wystawa odbyła się na pustyni w Syrii, bo chcieliśmy koniecznie zrobić coś dla Beduinów. Najpierw więc należało ich odszukać. Szliśmy więc z kolegą przez pustynie w kierunku bliżej niezidentyfikowanym wierząc, że gdzieś tam muszą być Beduini. Znaleźliśmy ich obozowisko i było naprawdę ciekawie. Choć nie zrozumieli istnienia fotografii, a tym bardziej tego co na nich widzieli. Ale nasza wizyta wraz z foto-cyrkiem była dla nich czymś niezwykłym. Na wystawę przybyło z okolicy ponad dwudziestu Beduinów. Kolejny pokaz odbył się na ulicach w Quettcie, stolicy Balochistanu w Pakistanie. Potem pokazywaliśmy zdjęcia w slumsach w Karachi, w obozie uchodźców afgańskich niedaleko Peshawaru, a także w Tribal Area w centralnej Sri Lance. Ta ostatnia wystawa odbyła się w środku dżungli w małej wioseczce o 4 rano, gdyż później wszyscy ruszali w pole. Później urządziliśmy dwie wystawy

w Nepalu, jedna w Tashiling - w obozie uchodźców z Tybetu, dwie z okazji 6 rocznicy istnienia centrum kształcenia młodzieży o ulicznym rodowodzie (pokhara). No i póki co ostatnia wystawa, miała miejsce w siedzibie Dalaj Lamy w północnych Indiach, choć można swobodnie powiedzieć, że była to wystawa w Tybecie. Odnośnie odbioru, sam nie wiem - trzeba by zapytać uczestników...

rozmawiał G.D.

Bogusław Kaczmarczyk  
**Cyganie**



























**- Jak to się stało, że podjąłeś temat mieszkańców cygańskiej osady? Dlaczego zainteresowali Cię ci ludzie?**

- Od zawsze interesowałem się subkulturami, w tym również kulturą cygańską. To nacja, która funkcjonuje jakby na marginesie Europy. Romowie są dla mnie synonimem wolności.

**- Gdzie znajduje się to osiedle? Ilu liczy mieszkańców?**

- Osada Cygańska w której powstał reportaż znajduje się w miejscowości Jarovnice na północy Słowacji - koło Sabinova. Jest jednym z większych skupisk Romów w Europie, liczy około pięć tysięcy mieszkańców. Wikary tutejszej parafii w ciągu roku odprawia około dziesięciu pogrzebów i prawie sto chrztów, więc na przyrost naturalny w Jarovnicach nie można narzekać.

**- Czym zajmują się na co dzień bohaterowie Twoich zdjęć?**

- W większości żyją wyłącznie z rządowego zasiłku. Niestety powoduje to, że tracą to, co w przeszłości ich definiowało, tzn. koczowniczy tryb życia. Reperując garnki, handlując koźmi, muzykując, wróżąc z kart przemierzali niegdyś Europę. To były

ich profesje. Tu, w Jarovnicach są wyizolowani, utracili więź z innymi Cyganami. Wydaje się, że wręcz tracą swą romską tożsamość. Na szczęście są tacy ludzie, jak Jan Sajko - nauczyciel plastyki ze szkoły podstawowej w Jarovnicach, który romskie dzieci uczy nie tylko malować, ale i edukuje w zakresie ich kultury. Opowiada historię, pokazuje filmy o tematyce cygańskiej, prezentuje muzykę. Wypełnia lukę po tym, co zdołali tu już jako naród zapomnieć.

**- Jak długo powstawał materiał, czy miałeś kłopoty przy robieniu zdjęć?**

- Materiał powstał w trakcie dwóch wizyt w osadzie. W sumie zabrało mi to cztery dni. Po tym, ja mnie przyjęli, poznałem Cyganów jako ludzi bardzo otwartych i gościnnych.

**- Materiał powstał na czyjeś zlecenie, był gdzieś publikowany?**

- Nie powstał na zlecenie, nie był publikowany - w zamyśle powstał jako materiał do książki fotograficznej.

rozmawiał G.D.



Maciej Nabrdalik  
**Szkoła boksu**



















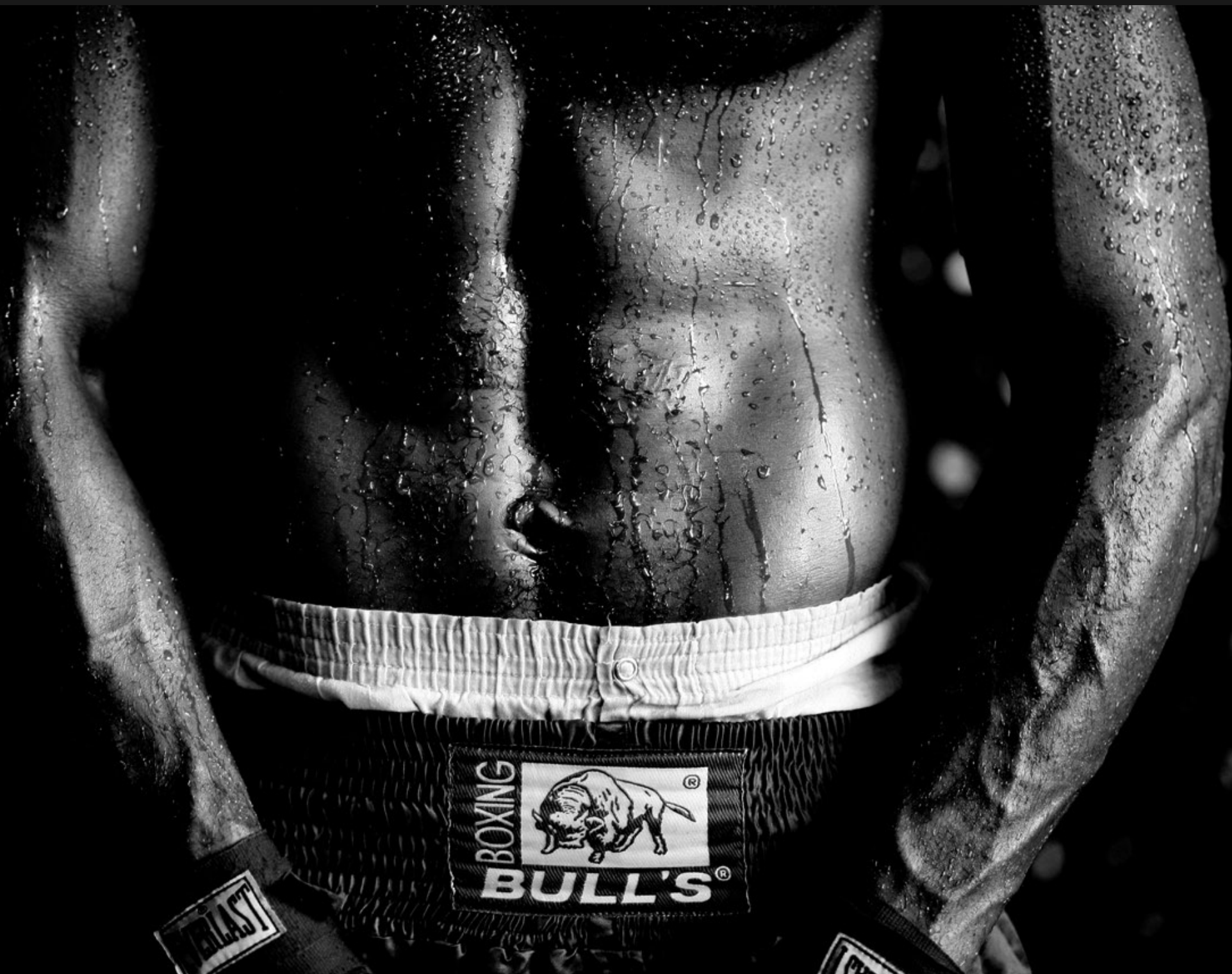














## - Dlaczego zdecydowałeś się poświęcić czas szkole bokserskiej w Stanach? Skąd pomysł?

- Powodów było kilka. O Gleason's Gym pierwszy raz usłyszałem kilka lat wcześniej na pokładzie samolotu do Nowego Jorku. Przez osiem godzin lotu, siedzący obok pan zabawiał mnie opowieściami o zawodnikach, którymi się opiekował. Don Elbaum, okazał się być jednym ze światowej sławy promotorów boksu. Przed rozstaniem zaprosił mnie na walkę jednego ze swoich podopiecznych do Madison Square Garden. Niestety, do Polski wracałem kilka dni przed pierwszym gongiem dłуго promowanej w samolocie walki. Wiedziałem, że będę kiedyś chciał odwiedzić to miejsce, które nieustannie przewijało się w jego opowieści, ale jednocześnie miałem dosyć boksu na kolejnych kilka lat.

Odpowiedni moment nadarzył się, gdy wziąłem udział w warsztatach VII, które odbywały się na Brooklynie. Organizatorzy polecili nam zdalne przestudiowanie okolicy, byśmy już pierwszego dnia mogli zaproponować prowadzącym tematy, nad którymi będziemy pracować. Temat bokserski nie od razu spodobał się Kratochvilovi. Wróciliśmy wspólnie do tej propozycji, gdy okazało się, że na tę pierwszą zabraknie mi czasu. I wreszcie, zawsze chciałem udokumentować

czyjś sukces. Chciałem na przykład fotografować wszystkie lokalne konkursy piękności, by kilka lat później móc pokazać czyjąś drogę do tytułu np. Miss Polski. Tyle, że to jak z gra w totolotka. O tej sali treningowej wiedziałem dość dużo. Wiedziałem, że trenowali tu najznamienitsi bokserzy świata. Roberto Duran, Jack LaMota czy Mike Tyson. Czułem, że ten krótki temat może przekształcić się kiedyś w kompleksową opowieść. Od tego czasu zdążyłem już raz tam wrócić. Wierzę, że uczynię z tego przynajmniej coroczna tradycję i kiedyś okaże się, że ktoś z najmłodszych bohaterów mojej historii zapisze się również w historii światowego boksu.

## - Jak długo pracowałeś nad tematem? Poznałeś bliżej bohaterów zdjęć? Kim są młodzi bokserzy?

- Nad zdjęciami, które opublikowaliście pracowałem równo tydzień. Nie mogę powiedzieć, że poznałem ich dobrze, ale spędziłem z nimi ten intensywny tydzień pracując każdego dnia od rana do wieczora. Z większością moich bohaterów rozmawiałem i nagrywałem krótkie wywiady, z myślą o formie multimedialnej. Boks jest dla nich wszystkich olbrzymią pasją. Każdą próbę rozmowy o życiu poza ringiem po chwili kierują na boks. To jest ich życie. Zostałem w pełni zaakceptowany, mogłem wchodzić wszędzie i

fotografować wszystko, ale nie od samego początku...

## - Miałeś jakieś dylematy związane z wyborem formy fotograficznej? Od razu wiedziałeś, że chcesz temat realizować w czarno-bieli?

- Nie miałem żadnych dylematów. Wolę oglądać i robić zdjęcia czarno-białe, Antonin też trochę narzucił nam tę formę. Tylko jeden fotoreporter realizował swój materiał w kolorze, ale jego temat dotyczył nowojorskich żółtych taksówek. W grupie, którą równolegle prowadził Ron Haviv, tylko jeden materiał nie był kolorowy... Może to wpływ prowadzącego?

## - Opowiedz o warsztatach Agencji VII. Jak długo trwają zajęcia, co w ich ramach robią fotoreporterzy?

- Warsztaty na Brooklynie trwały 5 dni, ale to żadna reguła. Zdarzają się i dwutygodniowe. Sposób ich prowadzenia też w dużej mierze zależy od prowadzącego. Spotykaliśmy się wcześniej rano i grupowo oglądaliśmy nasze zdjęcia z poprzedniego dnia. Kratochvil w czasie tych pokazów komentował i robił wstępną selekcję. To były cenne spotkania. Ciągłe coś wspominał, dużo przy tym rozmawialiśmy. Z kolei Ron spotykał się z fotografami swojej grupy indywidualnie.

Organizowano też pokazy zdjęć kilku innych fotografów i spotkania z fotoedytorami. W ostatni wieczór obiema grupami wspólnie obejrzelśmy prezentacje wszystkich materiałów. Nikt do tego momentu nie wiedział, które zdjęcia trafia do tej ostatecznej edycji prowadzących. Bardzo byłem jej ciekaw.

## - Co wyniosłeś z warsztatów VII?

- Co wyniosłem... No właśnie... To może trochę głupio zabrzmieć, ale nauczyłem się uśmiechać. Do Gleason's wszedłem jeszcze przed warsztatami. Z ciekawości. Czułem się nieakceptowany. Miałem wrażenie, że przeszkadza im mój kolor skóry. Spędziłem z nimi w sumie kilka godzin przez dwa dni, w skupieniu przyglądając się wszystkiemu wkoło. Nikt nie chciał ze mną dłużej porozmawiać, omijali mnie przy powitaniach. Uśmiech, z którym wróciłem na salę po pierwszym spotkaniu z charyzmatycznym Kratochvilem, otworzył mi wszystkie drzwi i wiem, że ten zwrot w żaden inny sposób by nie nastąpił. „Uśmiechaj się” - to była jedyna techniczna wskazówka jakiej mi udzielił.

Więcej zdjęć Macieja Nabrdalika można zobaczyć na:  
[www.nabrdalik.com](http://www.nabrdalik.com)

rozmawiał G.D.



Łukasz Kuś  
**Kosovo**























**- Opowiedz w jakich miejscach fotografowałeś, ile spędziłeś czasu w Kosowie, jak podejmowałeś decyzje, że będziesz robił zdjęcia w tym a nie innym miejscu?**

- Niestety nasz czas w Kosowie (było nas czworo) był mocno ograniczony ze względu na to, że koledzy dostali tylko dwa dni wolnego. Wyjechaliśmy w środę w nocy z Krakowa (oni musieli do mnie dotrzeć z Wrocławia i Łodzi). Na miejsce dotarliśmy w czwartek późnym wieczorem.

Fotografowaliśmy cały piątek i sobotę, a wcześniej rano w niedzielę byliśmy już w drodze powrotnej. Jeśli chodzi o wybór miejsc, w których fotografowaliśmy to poszliśmy na żywioł - jak z resztą z całym wyjazdem. Podjęliśmy decyzję, że pojedziemy do Prisztiny (stolica Kosowa) - tam spodziewaliśmy się największej fety i tam chcieliśmy nocować. Starłem się pogodzić fotografowanie poza miejscami, w których roiło się od prasy, odwiedzić miejsca mniej uczęszczane i fotografować także podczas głównych wydarzeń. Ze względu na brak czasu było ciężko, ale myślę, że się udało. Drugi dzień spędziłem w Urosevacu - mniejszej miejscowości położonej na południe od Prisztiny. Wybraliśmy ją dlatego, że dwóch z mo-

ich współtowarzyszy miała robić zdjęcia w bazie, w której stacjonował polski kontyngent wojskowy, a ta położona była właśnie przy tym mieście.

**- Dlaczego wybrałeś czarno-biel do swojej opowieści? Fotografowałeś na klasycznych materiałach czy na cyfrze?**

- Czerń i biel wybrałem dlatego, że mogłem sobie na to pozwolić. Materiał nie był robiony dla prasy, a tam jednak sprzedaje się kolor. Myślę, że w tym wypadku czerń i biel dała materiałowi więcej wyrazu, wydźwięk bardziej osobisty. Fotografie są też przez to bardziej spójne. Fotografowałem cyfrą. Jednak od początku wiedziałem, jak chcę te fotografie prezentować. Forma i obróbka miała kojarzyć się z fotografią tradycyjną.

rozmawiał G.D.

Felieton

## Twórca w cieniu kuratora

Zacznijmy od tego, że zdjęcia Stefani Gurdowej nie były w jej czasach niczym nadzwyczajnym. Po prostu fotografie pamiątkowe tamtej epoki. Przykuwają uwagę, ponieważ wykonywano je na szklanych płytach, w pracochłonnej, aczkolwiek standardowej przed wiekiem technice, czego rezultat stanowią ogromnie bogate efekty światłocieniowe, a do tego zachwycająca ostrość głębi. Taki miała plus owa technika, minus - że była bardzo kosztowna i praktycznie każdego fotografa zmuszała do maksymalnego wykorzystania materiału. Ot i cała tajemnica „podwójnych” portretów Gurdowej: na jej zakład fotograficzny w małej Dębicy nawet jedna klatka na jednego człowieka to było za dużo. Naświetlała pół kliszy, drugie pół - z następnym klientem. (Gdy później zakładała kolejne filie, sieć, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, ten sposób mógł się tylko utrwalić.)

Być może dzisiejszemu młodemu pokoleniu, przyzwyczajonemu do rozrzutności, nie znającemu ani wartości szklanej płyty fotograficznej na pocz. XX w., ani nawet symbolicznej ceny towaru, którego nie ma, jakim były w Polsce lat 80. np. filmy do przezroczy produk-

cji japońskiej, trudno ustalić hierarchię argumentów. W kontekście mocno nagłośnionej wystawy zdjęć Gurdowej w byłej krakowskiej synagodze (Miesiąc Fotografii w Krakowie, 2008) napisano więc, że dwa portrety na jednej płycie, to „prawdopodobnie” wynik oszczędności.

Pierwej zaś napisano o eschatologicznym wymiarze adnotacji: „*Klisze przechowuje się*”, którą umieszczali na rewersie odbitek właściciele wszystkich dawnych atelier fotograficznych. Nadano też Gurdowej miano „wybitnej artystki” a jej portrety określono „ekspresyjnymi”. Wszystko w tej kolejności. Obecnie zaś albumy z fotografiami Gurdowej wysyłane są do 50 muzeów w USA i w Tokio. No i mamy odrąbiony sukces polskiej fotografii na świecie.

Cóż, trzeba dalej walczyć o Gombrowicza w polskiej szkole. Trzeba walczyć o refleksję nad myślą Gombrowicza - nad polską skłonnością do bezczeszczenia przez zadęcie i nad pielęgnacją zaścianka. Stefania Gurdowa nie była Juliuszem Słowackim polskiej fotografii ni nawet pomniejszym poetą tej branży. Za „wybitną artystką” miałyby prawo się obrazić. Raz, że ludzie kiedyś z reguły lepiej znali swoje miejsce. Dwa - musiała sobie zdawać sprawę, że często niechlujnie ustawiała kadr lub portretowanych; co więcej - nie zawsze była w stanie wypracować na tyle swobodny

kontakt z człowiekiem przed obiektywem, by nie utrwać go z wytrzeszczem oczu. Nazywać to ekspresyjnością, a autora wynosić do rangi artysty, w dodatku ponadprzeciętnego, jest czystym kołtuństwem. A kołtuństwo jest obraźliwe.

Socjologowie za jedną z cech naszej epoki, którą zwą „późną nowoczesnością”, podają przymus rozwoju, który idzie w parze z zanikiem poczucia celu. Zatem rozwijamy się w owczym pędzie, na łeb, na szyję. Ma to wymiar tragikomiczny nie tylko, gdy „rozwijają się” talent dawno zmarłej Gurdowej. Ba, ona była mimo wszystko profesjonalnym fotografem, a dziś można zostać fotografem nie będąc fotografem. - Nie róbmy więcej zdjęć, dopóki nie zużyjemy tych, które już powstały - żąda Joachim Schmidt, Niemiec, wystawiający na pierwszym międzynarodowym New York Photo Festival kolaże z pociętych przez niszczarkę zdjęć rodzinnych, reklam i gazet. Można dziś robić wystawę fotografii, nie mając w ręku żadnej pracy fotografa. Mikołaj Długosz zrobił wystawę na Miesiąc Fotografii w Krakowie z fotek znalezionych na aukcji internetowej Allegro („Real Foto”). - Ta fotografia jest lepsza od utartych schematów, którymi posługują się zawodowcy - głosi „rewolucyjnie”. („RealFoto” przejęło warszawskie CSW, włączając do wystawy „Efekt czerwonych oczu. Fotografia

poliska XXI w.”)

Zapewniam, że może być jeszcze straszniej. - Suchy, monotony język typologii dużo lepiej porządkuje i tłumaczy chaotyczną rzeczywistość zglobalizowanego świata - mówi jeden z kuratorów w/w New York Photo Festival. I kto nim jest? Martin Parr, fotograf najstarszej, europejskiej agencji fotoreporterskiej. Rozwój bez celu to jazda bez „trzymanki”. Przystaję się dziwić, że recenzentka GW Dorota Jarecka w kontekście reportażu z Dworca Centralnego Alberta Zawady, „znakomitego” - jak sama pisze, popełnia takie zdanie: „Fotografowie są dziś tak świadomi wad i defektów fotografii, że prawie nie mogą zrobić zdjęcia”. Zdanie wyróżnione zostaje ramką jako kluczowe sformułowanie w tekście o wystawie, na której eksponowanych jest kilkadziesiąt prac fotografów (w/w „Efekt czerwonych oczu. Fotografia polska XXI w.” w Centrum Sztuki Współczesnej). Rozwój bez celu musi mieć przykre konsekwencje. Te cytaty to żniwo jednego miesiąca. Bez żenady stawiając puste tezy wszyscy się miotają, a nieliczni, którzy się nie miotają i robią swoje, pozostają za zasłoną ciszy. Nikt ich nie zauważa i o nich nie pisze, bo liczy się ruch, szum, „rozwój” - przez typologię, nowe techniki, źródła (internet).

Z Miesiąca Fotografii jako objawienie przedstawiono zdjęcia Gurdowej i „Real Foto”. O wystawie „Marzyciele i świadkowie. Fotografia XX w.”, przygotowanej na tenże Miesiąc przez Wojciecha Prażmowskiego, po raz pierwszy zestawiającej fotografię dokumentalną z konceptualną i kreatywną, trudno przeczytać coś ponad krótkie teksty informacyjne. - W efekcie dynamika spektaklu nie pochodzi od dramaturgii, ale od silnika, który napędza obrotową scenę - stwierdził Roman Pawłowski, zwracając uwagę na malejącą rolę dramaturgii na rzecz rosnącej roli reżysera we współczesnym teatrze. To przynosi słabą, ale jednak pociechę, że zamiana ról nie dotyczy jednej dziedziny sztuki.

W przypadku fotografii nie drażni wchodzenie fotografa w rolę kuratora - to ani nowość, ani problem. Kurator, który neguje rolę fotografa, to już zjawisko groźne, a jeśli do tego sam w „pierwszym życiu” jest wziętym fotografem - można podejrzewać go albo o skłonności samobójcze albo o sabotaż.

A jednak - taki zaledwie wykorzystujący fotografa i umniejszający jego rolę kurator dominuje dziś na wystawach, mając zapewne ratować fotografię zagrożoną konkurencją internetu i filmu. Ratować, jak reżyser w teatrze, od nowa piszący „na scenie sztukę za pomocą fragmentów tekstu, projekcji wideo, instalacji i muzyki” (R. Pawłowski). „Kurator no-

wej generacji” podaje temat, a fotografowie mają znaleźć odpowiednie zdjęcia. Jeśli ich nie mają - spokojna głowa, w sieci zawsze coś się znajdzie. A że wielu oglądających „dzieła” użytkowników internetu się potem śmieje, to powód nie do wstydu, a obrazy dla kuratora. - Mnie nie bardzo odpowiada taka płytka reakcja - zwierzał się w wywiadzie dla GW Mikołaj Długosz. - Kulturalnie jest śmiać się serdecznie, a ludzie najczęściej śmieją się sarkastycznie - pouczał dalej twórca „Real Foto”.

Nie bez kozery używam tu słowa twórcy. W tym właśnie sęk, że kurator odbiera fotografowi rolę twórcy. Z recenzentami nie lepiej. Agnieszka Sabor /Tygodnik Powszechny/ o wspomnianym „Efekcie czerwonych oczu...” w CSW pisze: „dzieło fotografa całkowicie (czasem wręcz brutalnie) podporządkowane zostaje narracji kuratora. Nie jest to jednak zarzut”.

To nie zarzut. W porządku - krytyk, jak kurator, musi formułować własną opinię. Zastanawia co innego. Fotografowie, kuratorzy, krytycy jak jeden mąż utożsamiają fotografię z nauką o typach. Patrz: cytowana wyżej wypowiedź Martina Parra o tym, jak to język typologii porządkuje i tłumaczy nasz chaotyczny świat. Fotografia jako socjologia, rzecz by się chciało. Na tej zasadzie wypłynęła Gurdowa jako wybitna artystka. Na tej zasadzie rzecz by można, że z niej wybitny naukowiec był, bo przecież jej portrety

to bez wątplenia poważny materiał antropologiczny i socjologiczny. Co prawda niepełny - brakuje opisów tożsamości osób na zdjęciach. No i brakuje... wniosków.

Obie, antropologia i socjologia, zahaczają o typologię jako metodę pracy. Od dawna też znają fotografię. Jako narzędzie pracy. Narzędzie to faktycznie pomaga porządkować, niemniej samo przez się niczego nie tłumaczy, jak chciałby Parr. Nawet, jeśli używa języka nauki, która przez porządkowanie tłumaczy. Wniosków brakuje - i w pracy kuratorów, i recenzentów. Parr tylko trochę broni stwierdzenie, które zawarł w wywiadzie dla nowojorskiego magazynu fotograficznego Photo Design News [www.pdonline.com](http://www.pdonline.com) : „edukować, stymulować, prowokować - to jest celem New York Photo Festival”. To taka fajna formuła, która pozwala doskonale unikać wyciągania wniosków i formułowania jasnych opinii. Parr spokojnie mówi więc o przeminięciu mody(!) na tradycyjny, emocjonalny fotoreportaż i lansuje typologię.

W rezultacie recenzentka GW podsumowuje NY Festival tytułem: „Pomysł ważniejszy niż opowieść” i zaraz sama sobie przeczy, przyznając, że jedyna tam wystawa fotoreportażu „była niczym oaza prawdziwego życia” (Kinga Koenig). Mam nieodparte wrażenie, że podporządkowywanie prac fotografów twórczej inwencji kuratorów nie przynosi niczego innego niż dezorientację - w pierwszej

linii krytyków. Sabor o „Efekcie...” pisze dalej: „to zapis nieokreślonej i kreatywnej siły chaosu, z którego dopiero za chwilę narodzi się porządek”. Piękne zdanie. Ale chaos to chaos i Sabor gubi się w nim tak bardzo, że nie może prześledzić projekcji z prezentacjami fotodokumentalistów, które „kto wie” - jak wtrąca - „czy nie wywierają na wystawie największego wrażenia”. Symptomatyczne są te obie, jakby niechcący wyrażone przez krytyków opinie o fotodokumentacji. Gdy fotograf przestaje występować jako twórca, trudno powiedzieć wprost, że jednak ten fotoreportaż, co wyszedł z mody, był najciekawszy. Wypada mówić o idei, koncepcji, pomysle - na typologię, na zdjęcia z sieci, na ogarnięcie chaosu. I w świat idą zdjęcia np. Gurdowej. Pytanie, czy tak da się wypromować polską fotografię.

U końca recenzji z „Efektu...” Jarecka wygłosiła z gruntu sensowną uwagę: „Nie ma lepszego paliwa dla sztuki niż banalność życia”. Tylko banalność życia to jeszcze nie sztuka. Banalność banalnością pozostanie, obojętnie, jak „rewolucyjne” credo wygłosi o niego kurator czy inny współczesny twórca. Właśnie banalność posługuje się zawsze schematem.

Marcin Buras

## Filip Springer

Polska Głos Wielkopolski,  
agencja Vis`a`Vis,  
mieszka w Poznaniu

## Paweł Łączny

EK Pictures  
mieszka we Wrocławiu

## Piotr Koszczyński

fotograf niezależny  
mieszka w Warszawie

## Krzysztof Szewczyk

Agencja Zoompix  
mieszka w Katowicach

## Andrzej Marczuk

Agencja TAMTAM  
mieszka w Gliwicach

## kolektyw Pogarda

skład płynny bez stałej lokalizacji

## Bogusław Kaczmarczyk

fotograf niezależny  
mieszka w Opolu

## Maciej Nabrdalik

fotograf niezależny  
mieszka w Warszawie

## Łukasz Kuś

fotograf niezależny  
mieszka w Oświęcimiu

**www.5klatek.pl**  
*magazyn fotografii dokumentalnej*

**Grzegorz Dembiński**

[g.dembinski@tamtamagency.com.pl](mailto:g.dembinski@tamtamagency.com.pl)

+48 604 414 607

**Mariusz Forecki**

[m.forecki@tamtamagency.com.pl](mailto:m.forecki@tamtamagency.com.pl)

+48 601 700 111

**Andrzej Marczuk**

[a.marczuk@tamtamagency.com.pl](mailto:a.marczuk@tamtamagency.com.pl)

+48 697 292 429

© 2008

PATRONAT MEDIALNY



[www.tamtamagency.com.pl](http://www.tamtamagency.com.pl)

WSPÓŁPRACA:

Instytut Fotografii

**PRO**

**FOTOGRAFIA**

[www.profotografia.pl](http://www.profotografia.pl)